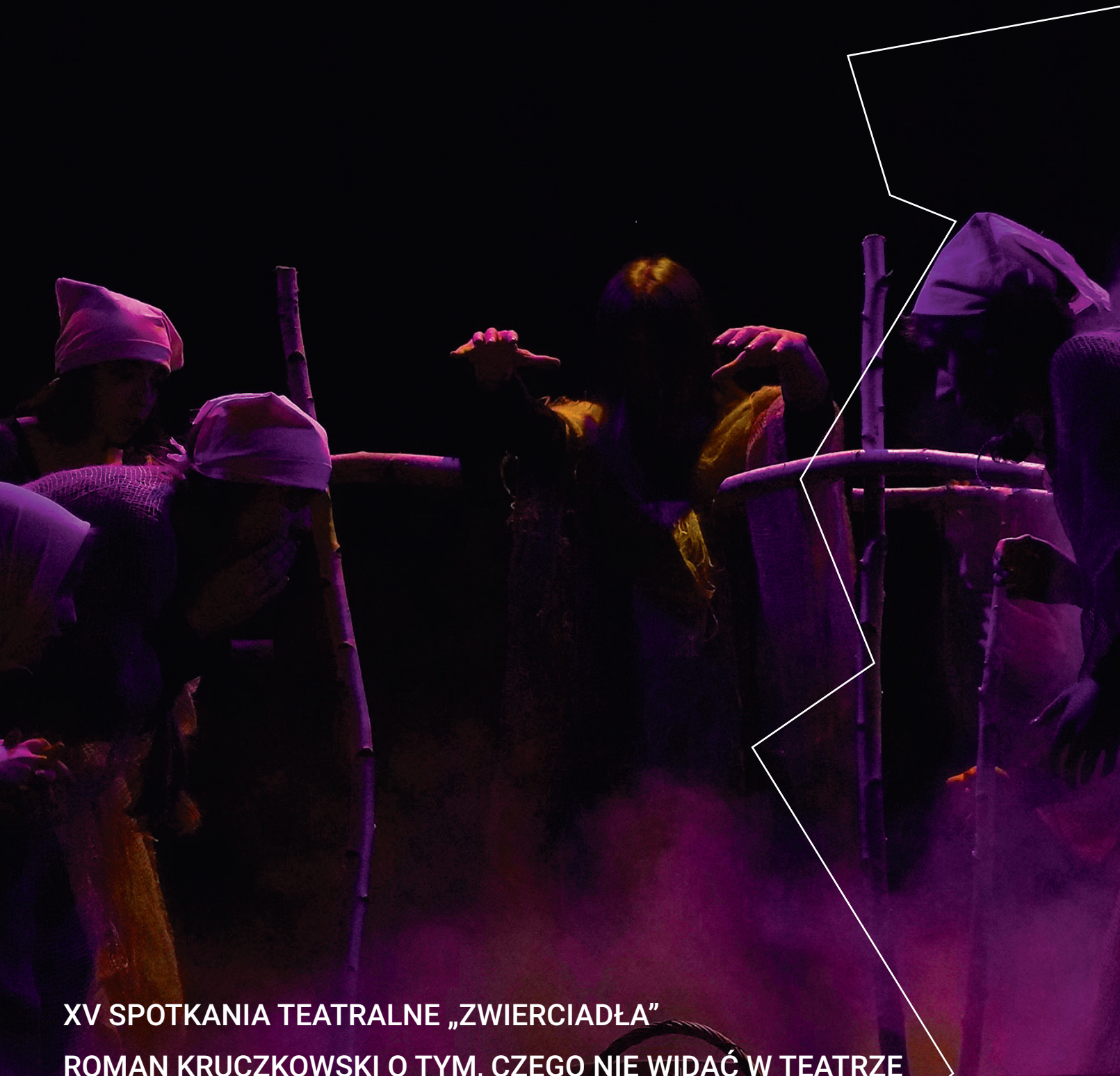


PROSCENIUM



XV SPOTKANIA TEATRALNE „ZWIERCADŁA”

ROMAN KRUCZKOWSKI O TYM, CZEGO NIE WIDAĆ W TEATRZE

BŁASZCZAK O *DZIÓB W DZIÓB*

CHRÓL O LYNCHU

OSTATNI FELIETON SIWKA

SPEKTAKLE CHLEBOTWÓRCZE

MACIEJ BIELAK

Moja znajoma reporterka podzieliła swoje reportaże na twórcze i chlebotwórcze. W teatrze do miana utworów chlebotwórczych mogą aspirować farsy.

Farsy mają tę zaletę, że spełniają potrzebę bezpieczeństwa zarówno dyrekcji, jak i artystów. Przykładem może być *Prawda* w Teatrze Osterwy – jedna z wielu historii o dwóch parach małżonków, którzy wzajemnie się zdradzają i przekonani są, że nikt o tym nie wie. Takie spektakle są bezpieczne, bo nikt nie musi się męczyć. Reżyser nie musi ślepczyć nad opracowaniem tekstu i rozwiązań scenicznych, bo jakiegokolwiek ingerencje sprawią, że intryga straci sens, aktorzy nie muszą głowić się nad interpretacją roli, a dyrekcja teatru nie musi martwić się o frekwencję na widowni.

Słowem: same korzyści i żadnego ryzyka, tym bardziej, że w repertuarze Osterwy są dwa niemal identyczne przedstawienia. A że otrzymujemy spektakl o niczym, w którym aktorzy (poza Krzysztofem Olchawą) recytują swoje kwestie i przez cały czas grają swoje role na jednej nucie? Co tam! Przecież, cytując klasyka, ciemny lud to kupi, więc przedstawienie spełni swą chlebotwórczą funkcję i kasa teatru – dotowanego, przypomnijmy, z pieniędzy publicznych – będzie większa. Tylko czy pieniądze od widzów na pewno będą przeznaczone na finansowanie bardziej ambitnych spektakli? ■

SZKOŁA TEATRU

Moje credo życiowe po skończeniu szkoły teatralnej brzmiało „grać, tylko grać, jak najwięcej”. Uważam, że młodzi ludzie po szkole aktorskiej powinni przede wszystkim grać. Szkoły czy uniwersytety dają jedynie narzędzia, a żeby się czegoś naprawdę nauczyć, to trzeba uprawiać zawód w praktyce. Lublin był moim piątym teatrem. Przyjechalśmy tu z żoną w 1966 roku. Dyrektorem był wówczas Jerzy Torończyk, ojciec Krzysztofa Torończyka. Bardzo długo prowadził ten teatr. Ja w Teatrze Osterwy pracowałem od 1966 do 1986 roku. Potem wyjechałem z Lublina, a gdy wróciłem, nie pracowałem już na etat, grałem na umowę o dzieło. Miałem wrażenie, że idę do teatru z prawdziwego zdarzenia: świetny repertuar i aktorzy. Do dziś wspominam Aleksandra Aleksego, Włodzimierza Wiszniewskiego, który przyszedł prosto po łódzkiej szkole i tu został, Stanisława Mikulskiego i Jana Machulskiego, którzy byli bożyszczami pań w Lublinie i okolicach. Dwaj amanci i gwiazdy tego teatru.

Historia Osterwy jest historią jednego z czołowych teatrów w Polsce. Mieszkańcy Lublina wybudowali go sobie sami, ze składek, a ten budynek nigdy nie pełnił innej roli, jak tylko teatralną. Grano tu nawet w czasie wojny, co jest bardzo rzadkie, bo okupant nieraz zamieniał teatry na składy amunicji lub je likwidował. A tutaj funkcjonował teatr niemiecki, ale wciąż jednak teatr.

Niedługo po naszym przyjeździe, w 1967 roku, stanowisko dyrektora artystycznego objął Kazimierz Braun – reżyser, który poszukiwał nowego wtedy języka teatralnego. Robiliśmy wiele bardzo dyskusyjnych spektakli, w których Kazik pokazywał na przykład akty ludzkie, w których występowały nagie panie wraz z panami. W tym okresie to nie



foto: archiwum Teatru Osterwy

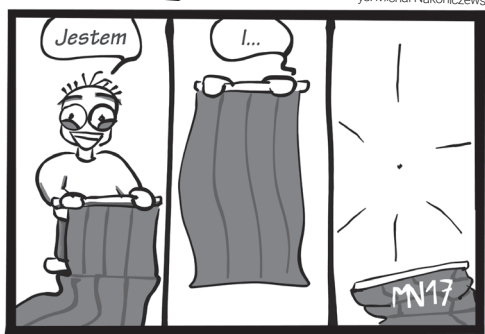
CZEGO NIE WIDAĆ

ROMAN KRUCZKOWSKI

było jeszcze oczywistością, a poszukiwaniami, robiącymi spore wrażenie. Przygotowywał przedstawienia według własnych scenariuszy, które nie zawsze były genialne. Poszukiwania stylu łączą się z tym, że trzeba próbować. Nie zawsze były to arcydzieła, więc czasem podśmiewaliśmy się z jego pomysłów. Ale to, co proponował, później w mojej karierze wracało bumerangiem, proponowane przez młodych reżyserów jako ich wielkie odkrycia. A ja wtedy powtarzałem: „kochani, ale to już było”.

W każdym razie był to okres tego teatru, w którym odbywały się dyskusyjne przedstawienia, studyjne, nocne czuwania, wyjścia ze sztuką na zewnątrz. Na przykład w spektaklu *Stara kobieta wysiaduje* Tadeusza Różewicza Braun wyprowadził nas na ulice. Różewicz bywał zresztą u Brauna i pamiętam, że on także poszukiwał właściwej formy teatru dwudziestego wieku. Gdy raz zapytaliśmy Różewicza o plany twórcze, odpowiedział: „Wiecie państwo, ja piszę, kończę, zamykam, idę spać, rano wstaję i skreślam. Dla mnie ideałem jest, aby tekst sztuki zamknął się w piętnastu minutach, a kolega Braun robi z tego dwugodzinne przedstawienie”. I zrobiliśmy. Dwa-dziesiąt lat w Teatrze Osterwy było dla mnie znakomitą szkołą teatru. ■

Wystuchała, spisała i zredagowała Karolina Kaliszuk.



rys. Michał Nakoniczewski

Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Kornelia Kurach, Karolina Kaliszuk, Mateusz Chról, Monika Błaszczak (korekta)

Współpraca: Łukasz Witt-Michałowski, Bartosz Siwek, Maciej Bielał, Michał Nakoniczewski

Skład i DTP: Katarzyna Długosz

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie

Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin

gazetaproszeniem@gmail.com

proscenium.lublin

Druk: Baccarat

Nakład: 800

Na okładce zamieszczono zdjęcia ze spektaklu *Próba generalna* w reżyserii Katarzyny Józwick z Teatru Nic Konkretnego z II Liceum Ogólnokształcącego imienia Hetmana Jana Zamojskiego, fot. Ola Bielał.



WARSZTATY KULTURY

O TYCH, KTÓRYM SIĘ CHCE

MONIKA BŁASZCZAK

Do II Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie, popularnie zwanego Zamoyem, miałam okazję chodzić jeszcze nie tak dawno temu. Zawsze była to dla mnie szkoła, w której ciągle coś się dzieje, a każdy uczeń prędzej czy później staje się organizatorem. Czegokolwiek. Wydarzenia kulturalnego, spotkania. Festiwalu.

Najważniejszym punktem w kalendarzu imprez kulturalnych Zamoya są Spotkania Teatralne „Zwierciadła”. Przez ponad pół roku cały sztab wolontariuszy pracuje nad nimi pod czujnym okiem nauczycieli i animatorów z Fundacji TEAM Teatrikon – zamoyszczacy, podzieleni na grupy odpowiedzialne chociażby za finanse, promocję czy program festiwalu, uczą się od podstaw, jak zorganizować takie przedsięwzięcie. Obserwowałam i wciąż obserwuję moich znajomych, którzy te kilka lat temu siedzieli po nocach i między jednym a drugim wypracowaniem na polski pisali wnioski o dofinansowanie czy prośby o objęcie festiwalu patronatem, a między zadaniami z matematyki liczyli zwierciadlany budżet. Zdecydowana większość z nich wciąż coś robi – coś więcej, coś ponad to, czym muszą zajmować się na studiach. Nawet jeśli nie zdecydowali się na dalszą pracę w kulturze, to umiejętności, które zdobyli, organizując „Zwierciadła”, i tak przydają im się na każdym kroku. Zaradność, samodzielność, współpraca w grupie i inne miękkie kompetencje to wcale nie są puste frazesy.

Osobiście w robienie „Zwierciadeł” miałam okazję zaangażować się przede wszystkim jako redaktorka szkolnego magazynu „Zamoy Xpress”, którego numery specjalne wydawane są każdego dnia festiwalu. Ta inicjatywa też napędzana jest przez uczniów – nad gazetką

czuwa niezastąpiona pani Anna Maliszewska-Pokrzywa, ale to zadaniem młodzieży jest obejrzenie spektakli, napisanie tekstów, złożenie i wystanie do druku pisma, a potem jego dystrybucja. Doświadczenie? Praca pod presją, szybkie rozwiązywanie problemów, a dla zainteresowanych pisaniem – warsztaty dziennikarskie. Za to grupy teatralne dostają feedback od nieraz najbardziej wymagających widzów: rówieśników.

Chyba nie będzie przesadą powiedzenie, że „Zwierciadła” to wizytówka Zamoya. Co roku akcje promocyjne poprzedzające festiwal wprowadzają go w przestrzeń miasta – a wszystko to zaczęło się od kameralnego przeglądu teatralnego, w którym wystąpiły... trzy zespoły. To właśnie takie historie są tym, co młodych ludzi popycha do działania. Widzą, że da się coś zrobić. Że ma się na coś wpływ. Że warto uparcie dążyć do celu. Tym bardziej, że dzieje się to właśnie „tutaj”,

„u nas”, osiągnęli to „nasi”, więc my też możemy – i chcemy – stać się częścią tego przedsięwzięcia. Ukłony w stronę Zamoya, jego uczniów – za to, że im się chce – i grona pedagogicznego – za rozumienie tego, jak ważne są „Zwierciadła”, i stałe wspieranie zarówno tego, jak i innych szkolnych wydarzeń kulturalnych. Bo to jeden z głównych czynników napędzających zamoyszczaków do działania. ■

3

LUBELSKA GAZETA TEATRALNA „PROSCENIUM”

ogłasza

NABÓR MŁODYCH REDAKTORÓW

Jeśli jesteś uczniem szkoły średniej lub studentem, chcącym spróbować sił
w profesjonalnej redakcji – zapraszamy.

Próbujesz pisać o sztuce i kulturze, ale nie masz gdzie publikować – zapraszamy.

Chcesz poprawić swój warsztat pod okiem profesjonalnego dziennikarza, brać udział
w warsztatach, spotykać aktorów, tancerzy – zapraszamy.

Pragniesz częściej niż dotychczas uczęszczać do teatru, na wystawy
– wstąp do nas.

Młody, dynamiczny zespół pisma obecnego niemal w każdym miejscu
związanym z kulturą zaprasza Cię w swoje szeregi.

12 MARCA O 16.00

W WARSZTATACH KULTURY, II PIETRO, UL. GRODZKA 7.

Z DYSTANSEM DO SIEBIE

Z KATARZYŃĄ JÓZWIK O PRACY Z MŁODZIEŻĄ I SPOTKANIACH TEATRALNYCH „ZWIERCIADŁA” ROZMAWIA BARTŁOMIEJ MIERNIK.



foto: archiwum Katarzyny Józwick

Bartłomiej Miernik: Jesteśmy w przededniu piętnastej edycji festiwalu „Zwierciadła”. Sięgnijmy jednak do początku. Jak to się wszystko zaczęło, z jakiej potrzeby zrodziło i w jakich warunkach? I z czego wyniknęła potrzeba kontynuacji?

Katarzyna Józwick: Zaczęliśmy od programu autorskiego klasy, którą nazwaliśmy artystyczną – przyszła do niej grupa uczniów, której zdefiniowanie przez artystów bardzo się spodobało. Na przerwach grali na gitarach, śpiewali, zintegrowali społeczność, nadali szkole nowy klimat. Spośród nich zebrało się kilka osób na czele z Darkiem Figurą, które zaczęły myśleć nad utworzeniem teatru szkolnego. Następnie odgrzebaliśmy naszą starą scenę, która funkcjonowała w szkole jeszcze od przedwojnia. Odgruzowaliśmy rumowisko, wyremontowaliśmy pomieszczenie, pomalowaliśmy je, zakupiliśmy czarne płótna i ogłosiliśmy, że w Zamoyu chcemy robić teatr i festiwal. Pierwsza edycja nie cieszyła się wielką popularnością, ale kilka spektakli udało się zaprezentować. Z czasem zgłaszało się coraz więcej ekip, w pewnym momencie mieliśmy zgłoszone trzydzieści dwie grupy, co jest zbyt dużą liczbą na taki szkolny festiwal. Coraz bardziej profesjonalnie wyglądała też nasza scena, dzięki absolwentowi tej szkoły, panu Jarkowi Rudnickiemu. Kolejne zakupy czy zaciemnienie sali powodowały, że tworzył się tu teatralny klimat i zgłaszały się coraz bardziej zaawansowane w pracy zespoły teatralne. Również w naszej szkole tworzyły się grupki, które prezentowały wymyślone przez siebie spektakle. Początkowo nie robiliśmy żadnych ograniczeń – prócz czasowego, by pokaz trwał nie więcej niż dwadzieścia minut. Ale rozumieliśmy, gdy ten limit był przekraczany, dosyć często zresztą. Z czasem cała energia tego festiwalu poszła w stronę zwiększenia jakości: grupy przygotowywały spektakle specjalnie na „Zwierciadła”, częstokroć miały tu premiery. Zwiększyła się jakość, może też dlatego, że proponowaliśmy uczestnikom warsztaty dla instruktorów, aktorów, dykcyjne, ruchu scenicznego, impro.

Mamy przecież w Lublinie świetną kadrę prowadzących warsztaty. Może pomogła też obecność gości specjalnych, zapraszaliśmy bowiem osoby znaczące w świecie teatralnym, a pochodzące z Lublina, osoby z ogromnymi osiągnięciami: Janusza Opryńskiego, Leszka Mądzika, Pawła Passiniego. Uczniowie dostrzegli więc wymiar zawodowy teatru, że można tworzyć spektakle na światowym poziomie, mieszkając w naszym mieście. Dzięki Fundacji TEAM Teatrykon „Zwierciadła” zagościły w kilku kolejnych miastach.

B.M.: Fundacji, która powstała przecież ze „Zwierciadła”...

K.J.: Usiedliśmy nad problemem, skąd brać pieniądze na festiwal, bo jak zacząć nam się rozrastać, to i potrzeby finansowe stały się większe. A szkoła jako instytucja nie mogła nam już pomagać, poza radą rodziców, która czasami przeznaczyła na niego troszkę pieniędzy. Przez organizatorów „Zwierciadła” stworzona została Fundacja TEAM Teatrykon, której prezesem jest Darek Figura, *spiritus movens* festiwalu. Teatrykon pozyskiwał nam granty, a jednocześnie prowadził działalność, by „Zwierciadła” powstały w sześciu kolejnych miastach. Pierwszy ogólnopolski finał odbył się w Warszawie, następnie każde partnerskie miasto bierze na siebie jego organizację. W zeszłym roku zwycięski spektakl miał szansę wystąpić na najlepszej obecnie scenie w Polsce – w lubelskim Centrum Spotkania Kultur. Dzisiaj „Zwierciadła” kojarzą się nie tylko z ruchem amatorskim entuzjastów krzyczących „zróbmy sobie sztukę”. Kojarzą się z poziomem, z warsztatami, z konfrontacją, ale i ze współpracą.

B.M.: „Zwierciadła” charakteryzuje wspólna atmosfera. Ale też nie byłbym sobą, gdybym nie włożył w twoją narrację łyżki dziegciu. Jak się czujesz jako zwycięzca ostatniej edycji festiwalu, a zarazem jego organizatorka? Wasza *Próba generalna* otrzymała Grand Prix festiwalu.

K.J.: Całkiem dobrze, bo to nie była reguła tego festiwalu. Wygrał dopiero drugi spektakl stworzony w Zamoyu na czternaście edycji. Gdyby to była zasada

i reguła, że nasze spektakle wygrywają, to czułabym się fatalnie. Natomiast przez te wszystkie lata pracowaliśmy na osiągnięcie pewnej jakości, był nawet taki moment, gdy profesjonalny instruktor prowadził grupę teatralną w naszej szkole i wówczas też nasz spektakl wygrał – zresztą zupełnie zasłużenie. Teraz był ten drugi raz, przy czym ja siebie nie mogę nazwać fachowym instruktorem. Wiesz, zadecydowała niebywała energia grupy uczniów i sądzę, że przez dwa lata nabrali już wycucia sceny. Świetnie się tym spektaklem bawili, to przecież oni wymyślili drugą część *Próby generalnej*, ja na początku byłam przeciwna, by w ogóle dotykać *Dziadów* Mickiewicza.

B.M.: Dlaczego?

K.J.: Bo nie wyobrażałam sobie, co szczeremu może dzisiaj powiedzieć młody człowiek drugą częścią *Dziadów*. Lubię ten dramat obejrzeć na scenie, ale nie budzi we mnie jakichś głębokich emocji, a refleksja egzystencjalna w nim zawarta wydaje mi się dzisiaj nieco zbyt prosta. A młodzież wybrała ten dramat ze względu na widowiskowość, efektywność. Bo pojawiają się tam duchy, magia, fantastyka. A to jest przecież pokolenie fascynacji fantastyką. I to ich początkowo ruszyło, ale gdy weszliśmy w ten tekst głębiej, to okazało się, że niesie im nieco inne przesłanie. Na tym została zresztą zbudowana druga część spektaklu, na bazie autentycznych tekstów poezji młodzieżowej znajdującej na blogach poetyckich czy własnych wierszy uczniów. Powstały etiudy inspirowane, które były bardziej autentyczne, bardziej ich, wyrosłe z interpretacji klasyki.

B.M.: Zwracasz uwagę na energię. A oto znajdujemy się w dużej publicznej szkole średniej, dzwonią dzwonki, chodzą nauczyciele, pisze się kartkówki, stresuje przed chemią... To gdzie tu miejsce na energię teatralną? Jak robić teatr w szkole?

K.J.: Moja wizja szkoły nie może ograniczać się do pracy między dzwonekami i do klasówek. W takiej szkole nie chciałabym pracować. Do naszej przychodzi z gimnazjów mnóstwo dzieci już śpie-



foto Marcin Wiechlik

wających, po szkołach muzycznych, po pierwszych doświadczeniach teatralnych, recytatorskich. Wystarczy tylko te talenty dostrzec, wyciągnąć na wierzch i dać im szansę. A oni sami wystarczająco się nakręca. Gdy szliśmy do CSK na finały „Zwierciadła”, niosąc dekoracje z naszego przedstawienia, zapytali mnie, czy mogą pokrzyknąć na ulicy. Oczywiście pierwsza moja belferska reakcja była na nie, ale ponieważ bardzo mnie prosili, to pozwoliłam, prosząc, byle nie za głośno i nie za długo. Krzyknęli „kochamy Zamoya”, co bardzo mnie wzruszyło.

B.M.: Jakie jest dzisiaj miejsce, jaka funkcja teatru w szkole?

K.J.: Teatr to świetna muza dla młodych ludzi, oni kochają grać na scenie. Ale teatr w szkole to przecież nie tylko próby, ale i chodzenie do teatru, odbiór. Bo robienie teatru bez oglądania teatru nie ma najmniejszego sensu.

B.M.: Wielu uczniów oraz nauczycieli czy instruktorów żyje jedynie wyobrażeniem współczesnego teatru...

K.J.: Przed przystąpieniem do pracy obejrzelśmy dobre spektakle inscenizujące drugą część *Dziadów*, uczniowie dostrzegli różnicę między teatrem amatorskim a profesjonalnym. Oczywiście zrozumieli też, na czym polega koncepcja i zamysł robienia tego dramatu. W ogóle edukacja przez teatr, film, muzykę, plastykę jest bardzo istotna i nie robiłabym rozróżnienia, że jest tylko dla humanistów. Jest absolutnie dla wszystkich uczniów. Kultura jest ogólnorozwójowa, pozostaje przecież bagażem na całe życie. Natomiast obecnie szkoły nastawiły się na ścisłą realizację podstaw programowych. Wyprowadzenie młodzieży z budynku szkoły na dobry film czy spektakl jest obecnie niemal niemożliwe. Szkoła jako instytucja edukacyjna traci przez to bardzo wiele. Edukacja kulturalna jest oczywiście wpisana w podstawę programową języka polskiego, historii, WOK-u, ale od idei do realizacji droga jest coraz dalsza.

B.M.: A jak inni nauczyciele patrzą na to, że robicie w szkole teatr? Jak na jakąś fanaberię, niepotrzebny element?

K.J.: Bardzo różnie. Ze strony wielu nauczycieli mamy duże wsparcie, uważają, że Zamoya i „Zwierciadła” to udany mariaż, który celnie definiuje naszą szkołę, promuje ją. Słyszę, że jest to wydarzenie lubiane w Lublinie, o którym w mieście mówi się dobrze. Jeśli więc ktoś się identyfikuje z tą instytucją, o której mówi się dobrze między innymi dzięki „Zwierciadłom”, to jest to niewątpliwie miłe uczucie. Są też osoby, którym jest to obojętne, ale to przecież normalne i oczywiste. Są i nauczyciele, którym to przeszkadza, ponieważ „Zwierciadła” angażują sporą ilość uczniów, przy festiwalu pracuje cała grupa wolontariuszy. Wprowadzamy starą się przygotowywać do festiwalu po lekcjach, niemniej są uczniowie, którzy nadużywają czasu w szkole i potrafią się zwalniać z lekcji. Są też przecież uczniowie, którzy rozwijają pasję teatralną, a nie do końca pasję do matematyki, fizyki czy chemii, i tu pojawiają się oczywiście pewne problemy. (*uśmiech*) Wiadomo, że jeśli przez ostatni tydzień przed festiwalem panuje organizacyjny chaos, twórczy nieporządek, no to jest troszkę pretensji, że na przykład któraś z sal jest nieczynna, że niektórzy uczniowie na lekcję przyszli, a inni nie. Natomiast nigdy te częstokroć słuszne pretensje nauczycieli nie przyjmują charakteru dramatycznego.

B.M.: To znów dopytam o energię. Ile jest w tobie jeszcze energii, by to wszystko organizować?

K.J.: Może tą piętnastą edycją coś podsumuję.

B.M.: Zabrzmięło groźnie.

K.J.: Mam poczucie, że w każdej dziedzinie potrzebna jest świeża krew i może pora zejść ze sceny. Mamy już utrwalone pewne rytuały, reguły, ja i Ania Maliszewska. Przyzwyczajaliśmy się do spokojnego, chyba niezłego systemu pracy przy „Zwierciadłach”, ale może trzeba kogoś świeżego, kto by wprowadził nową jakość? Ze strony młodzieży jest bardzo duża ochota pracy przy tym festiwalu. A dopóki będzie oddolna energia, to „Zwierciadła” mają szansę funkcjonować.



foto Marcin Wiechlik

B.M.: Przygotowujesz jakiś spektakl na tę najbliższą edycję?

K.J.: Moja grupa teatralna, tym razem pod okiem pani Natalii Matuszek, która jest absolwentką Zamoya, przygotowuje spektakl bazujący na *Sztukmistrz z Lublina*. Z tego co wiem, zaproponuje opowieść o młodym człowieku, o jego wyborach, poszukiwaniach.

B.M.: Jaka jest rola nauczyciela, organizatora, podczas tego festiwalu?

K.J.: Spora, bo jak rozmawiam z absolwentami, to żartem mówią, że jestem matką założycielką „Zwierciadła”. (*śmiech*) Gdy energia młodych już się skumuluje, to potrzebuje też tego konia, który to wszystko pociągnie. W sensie organizacyjnym oczywiście, bo młodzi nie wiedzą nieraz, że pewne sprawy się rozjeżdżą, jeśli się ich nie zepnie, jeśli nie nada się im formy konkretnego działania, dyscypliny, trzymania poziomu. Bo oczywiście można mieć wspaniałą ekspresję twórczą, czuć sztukę całym sercem i duszą, ale jeśli ona nie ma dyscypliny, to robi się miałka. I rolę nauczyciela postrzegam właśnie w pilnowaniu poziomu i dyscypliny. Z Anią Maliszewską w takiej roli czujemy się najlepiej i wydaje mi się, że do niej pasujemy. Nie tych narzucających kierunek i jazdę, tylko spoglądających, w którą stronę jadą młodzi, i wyznaczających ten tor trochę szerszy, głębszy.

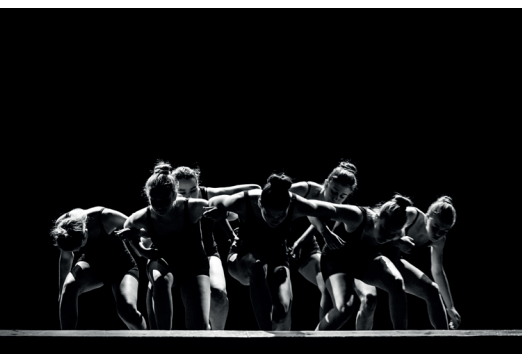
B.M.: Młodzi często nas, dorosłych, pytają o drogę.

K.J.: Pytają, ale nie zawsze są posłuszni, co też jest fajne, bo ze ścierania się, z buntu, też nieraz wychodzi nowa, ciekawa jakość. Niekiedy człowiek dorosły, gdy jest przyzwyczajony do pewnej rutyny, to zanim przystanie na nowe rozwiązanie, zareaguje buntem. A nieraz to, co młódzież wnosi, jest wartościowe, nowe, nieoczekiwane. Trzeba być mentorem, ale z pewnym dystansem do siebie. ■

Katarzyna Józwik – nauczycielka języka polskiego z II LO im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, *spiritus movens* „Zwierciadła”, reżyserka spektakli Teatru Nic Konkretnego.

ZWIERCIADLANE WIĘZI

ANNA MALISZEWSKA-POKRZYWA



fol. Marcin Wiecherek

„Zwierciadła” to dla mnie podróż, w którą zostałam nieoczekiwanie porwana prawie pięć lat temu. Pewnego słonecznego dnia wakacji odebrałam, niczego nie przeczuwając, telefon od koleżanki, Kasi Józwik. Z rozmowy wynikało jasno, że organizacja XI Spotkań Teatralnych „Zwierciadła” przypadnie w udziale właśnie mnie. Nie ukrywam, że byłam przerażona i nie mogłam w nocy spać. I od tej rozmowy losy moje i „Zwierciadła” się ze sobą splotyły. I trwam w tej podróży pełnej nieoczekiwanych zwrotów akcji i zaskakujących przygód do tej pory.

„Zwierciadła” to wielkie wyzwanie organizacyjne i jednocześnie wspaniała, rozwijająca wszystkich jej uczestników podróż do magicznego świata scenicznych światła. To także zaproszenie do stworzenia mocnych więzi międzyludzkich. Uważam, że budowanie więzi oraz spotkanie w świecie teatru jest prawdziwą wartością naszych „Zwierciadeł”, organizowanych przede wszystkim przez młodych dla młodych.

„Zwierciadła” to z jednej strony konkurs, spektakle poddawane są ocenie jury profesjonalnego i młodzieżowego, są także recenzowane przez widownię. Grupy w rozmowach z jurorami mogą poznać mocne i słabsze strony swoich realizacji. Następnego dnia po wystawieniu spektaklu w gazecie festiwalowej „Zamoy Xpress” mogą przeczytać wypowiedzi publiczności na temat przedstawień. Mamy każdego roku bogatą ofertę warsztatów – od improwizacji scenicznej, przez emisję głosu, po warsztaty fotograficzne.

Unikalna jest natomiast atmosfera tego wydarzenia, energia, która pozwala młodym ludziom sprawdzić się w kontekście innych wyzwań niż sprawdzian semestralny z matematyki. Potężna grupa wolontariuszy

uczy się organizować wielkie przedsięwzięcie. Emocje temu towarzyszące stanowią często podstawę więzi, o których mówiłam wcześniej. Uczniowie używają określenia „my – ekipa »Zwierciadeł«”, które wskazuje na wytworzenie się poczucia silnej wspólnoty. Często na czas festiwalu byli organizatorzy lub uczestnicy specjalnie wracają do Lublina po to, żeby znowu poczuć tę atmosferę. Spotykamy się na widowni lub w klubie festiwalowym, w którym każdego dnia przy kawie i piosenkach dyskutujemy o tym, co wydarzyło się na scenie, i o przyszłości festiwalu. Warto wspomnieć tutaj o Katarzynie Krzywickiej, która jako uczennica Zamoya występowała na scenie „Zwierciadeł”, potem z ramienia Fundacji TEAM Teatrikon przez kilka lat je organizowała, a potem – już będąc dyrektorką domu kultury i absolwentką teatrologii – była jurorką XIII Spotkań. To jest też okazja, żeby podziękować „Zwierciadłom” i ich twórcom, Kasi Józwik i Darkowi Figurze, że obdarzyli mnie zaufaniem i zaprosili do kosmosu „Zwierciadeł”. ■



fol. Przemek Bator

GOŁĘBIE Z DZIELNI

MONIKA BŁASZCZAK

W tym mieście nie ma miejsca dla żółtodziobów. Na dzielnicy rządzi banda gołębi, a kto tego nie ogarnia, ten wylatuje na zbity dziób. Dlatego malutki śmiałek, który postanowi zawalczyć o ich respekt, nie będzie miał łatwo.

Wróbel Przemek (Kacper Kubiec), grzeczny i miły ptaszek, pojawia się wśród gołębi akurat wtedy, kiedy przeżywają wielką tragedię. Właśnie straciły swojego szefa i przywódcę, wielkiego Janusza, i wszystko wskazuje na to, że sprawcą zbrodni jest ich odwieczny wróg – kotka Dolores. Przemek nie jest przez nich przyjęty z otwartymi skrzydłami, bo kto to widział, żeby jakiś tam mały wróbel zadawał się z takimi ziomkami? Próbuje jednak zaskarbić sobie ich sympatię i zasłużyć na szacunek bandy, nawet jeśli jego sytuacja wcale nie poprawia fakt, że według niego za zniknięciem Janusza nie musi stać kotka.

Akcja spektaklu zbudowana jest wokół problemu akceptacji i poczucia wspólnoty. Próba oswojenia tego zawsze aktualnego tematu może wywołać emocje, zwłaszcza że ciężko jest nie kibicować uroczemu i przesympatycznemu głównemu bohaterowi, a chyba większość widzów może się mniej lub bardziej utożsamić z którąś z postaci – czy to z poszczególnymi gołębiami, z których każdy ma nieco inny stosunek do bandy i wróbelka, czy też z samym Przemkiem, odrażonym przez grupę.

Nie będzie chyba wielkim zaskoczeniem wyjawienie, że wszystko kończy się dobrze – smutne jest tylko to, że gołębie w pełni akceptują Przemka jako „swojego” dopiero wtedy, kiedy „w praktyce” dowiedzie swojej wartości. Często tak właśnie bywa w prawdziwym życiu, ale w spektaklu przydałby się w tym miejscu komentarz ze strony twórców, że żeby być traktowanym przez innych z szacunkiem, nie trzeba wcale niczego udowadniać – w końcu głównym adresatem sztuki są dzieci, dla których kwestia budowania poczucia własnej wartości jest dość kluczowa.

SŁUCHAJĄC OKIEM

MATEUSZ CHRÓL



foto: Przemek Babior

Jako że spektakl kręci się wokół życia „na dzielni”, nie zabrakło w nim wyrażonych inspiracji różnymi subkulturami, przede wszystkim hip-hopową. Widać to w projektach lalek czy kostiumach aktorów; warto przy okazji wspomnieć, że aktorzy nie tylko animują lalki, ale w niektórych (zwłaszcza bardziej emocjonujących) scenach zaczynają grać ponad nimi i zwracać się bezpośrednio do siebie. Hip-hopowy klimat budują też kolorowa scenografia (tutaj zaskakujące wykorzystanie... samochodu) i – przede wszystkim – muzyka. Aktorzy nauczyli się beatboxować specjalnie na potrzeby spektaklu i, no cóż, oglądając przedstawienie, nietrudno się tego domyślić. Ale nie przesadzajmy, źle nie jest, a z każdym kolejnym wystawieniem wspomniany beatbox powinien brzmieć (mam nadzieję) coraz lepiej. Ogólnie pomysł wprowadzenia do Andersena nowej jakości w postaci rapu jest godny pochwały (i wpisuje się w tendencje światowe, bo hip-hop w teatrze to przede wszystkim Broadwayowski hit z 2015 roku, *Hamilton: An American Musical* – rapowana opowieść o jednym z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych). W spektaklu pojawiają się też rockowe brzmienia, które przynosi ze sobą na scenę główna antagonistka. Taka warstwa muzyczna dodaje spektaklowi wyrazistego charakteru, z jednym tylko wyjątkiem – finałową piosenką. Bardzo radosną i miłą, i nijak niewpisującą się w klimat opowieści.

Jeśli pominiemy ten mankament, spektakl jest bardzo spójny, ogląda się go z przyjemnością, a małym i dużym może dać do myślenia. I nawet żarty o kupie można mu wybaczyć – bo to w końcu spektakl o gołębiach. ■

Teatr im. H. Ch. Andersena w Lublinie
Dziób w dziób

Reżyseria: Elżbieta Depta

Scenografia: Agata Andrusyszyn-
-Chwastek

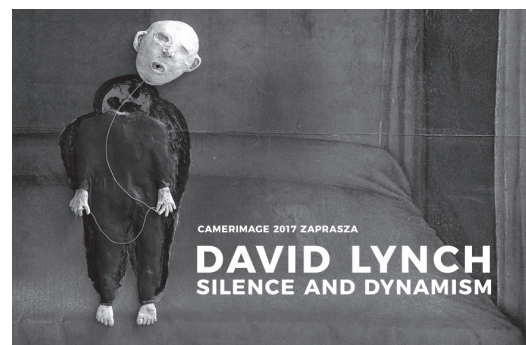
Data premiery: 8 grudnia 2017 roku

Od momentu wskrzeszenia *Twin Peaks*, dzięki premierze nowego sezonu, zainteresowanie Davidem Lynchem diametralnie wzrosło. Zorganizowana w Toruniu z okazji festiwalu Camerimage wystawa prac artysty – *Silence and Dynamism* – stała się jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych minionego roku.

Kolekcja stanowi przegląd twórczości amerykańskiego reżysera, począwszy od wczesnych lat działalności. Kuratorstwo objął Marek Żydowicz, który był również współproducentem ostatniej pełnometrażówki Lyncha – *Inland Empire*. Ekspozycja zawiera prace wizualne – przez obrazy, litografie, szkice, aż po filmy – a także utwory muzyczne. Chociaż Lynch nie jest tak dobrym muzykiem jak reżyserem, to prezentowana kolekcja muzyczna sprawnie (dez)integruje się z otoczeniem, generując dodatkowy bodziec artystyczny.

David Lynch powiedział, że *Silence and Dynamism* to największa prezentacja jego dorobku artystycznego, jaka dotychczas miała miejsce. Zbiór koresponduje z filmowymi produkcjami Lyncha i uzupełnia je, wyrastając przeciw z tego samego gruntu. Jednakże sądzę, że nie należy szukać uniwersalnego klucza do kompletnego zrozumienia tej twórczości. Całość tworzy – powtarzając do znudzenia podobnie brzmiącą frazę – uniwersum sennego koszmaru. Nawiązując do poetyki surrealistycznej, a właściwie redefiniując ją, artysta materializuje swoje niekiedy absurdalne koncepcje.

Chociaż przywoływane tutaj *Twin Peaks* stało się swoistą domeną, a – mówiąc nieco kolokwialnie – wizytówką reżysera, to prezentowany przegląd swoją estetyką bardziej nawiązuje do jego wczesnych dzieł,



takich jak *Eraserhead* czy *The Grandmother*. Eksploracja mroku, irracjonalności i nieświadomości, niekiedy brzydota zmieszanej z kiczem, tworzą zdeformowaną, niemniej urzekającą konstrukcję. Nie da się zaprzeczyć, że Lynch to twórca wielowymiarowy, interdyscyplinarny. Niewielu hollywoodzkich reżyserów partycypuje zarówno w kulturze wysokiej, jak i popularnej, tworząc obrazy, litografie, instalacje i niszowe filmy krótkometrażowe, jednocześnie zajmując się produkowaniem mainstreamowych seriali i reklam.

Przestrzeń wystawiennicza toruńskiego Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” oraz organizacja kuratorska aranżują absorbującą, hiperrealistyczną kompozycję wraz z treścią wystawy. Czarne ściany, skąpe światło przechodzące w półmrok, niemalże jak ze scenarii *Mulholland Drive*, czerwone kurtyny, charakterystyczne dla Czarnej Chaty z *Twin Peaks*.

Jest mi ciężko określić funkcję Lyncha na polu sztuki współczesnej. Czy jest on postmodernistycznym formalistą, mieszącym nieskonwencjonalizowane treści i nawiązującym grę, ludyczny kontakt z odbiorcą. Czy może traktuje swoją sztukę jako poważne medium, którym pragnie wywierać intensywny, quasi-duchowy wpływ na świadomość widza. ■

Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu

Wystawa *David Lynch. Silence and Dynamism*

Wernisaż: 12 listopada 2017 roku

...MOJE TRZY GROSZE

BARTOSZ SIWEK



fol. Mateusz Kalinowski

HOMO SPIRITUALIS?

Człowiek jest ze swej istoty stworzeniem religijnym, gotowym oddać się jakiejś idei, w przeciwieństwie do zwierząt, których głównym celem jest nastawienie na przetrwanie gatunku. Już w epoce paleolitu pojawia się kultura obrzędowa. Staje się nośnikiem, pomostem łączącym świat widzialny z niewidzialnym. Kult staje się zrębem organizacji społecznej, stwarza obyczaje. Tym samym „wiara w...” przestaje być sprawą prywatną i zyskuje świadomość zbiorową.

Od jakiegoś czasu na skutek działań rządzących powraca temat „klauzuli sumienia”. We współczesnym świecie, z powodu postępującej laicyzacji, nastąpiła degradacja pojęć. Religia pojmowana jest jako system opresyjny, powodujący zahamowania i kompleksy. Próbuje się zepchnąć ją do sfery prywatnej, co jest niemożliwe, bo wynika z samej jej społecznej istoty. Trudno mi wyobrazić sobie osobę szczerze wierzącą, nieprzestrzegającą etyki religijnej w życiu publicznym. Niestety takich ludzi określa się mianem fanatyków, zacyfanych itp. Najchętniej zepchnęłoby się ich do kościelnej kruchty. Z niepokojem śledzę fakty z „wolnego demokratycznego świata”, gdzie to podstawowe, wydawałoby się, prawo każdego człowieka jest łamane. Wymienię tu przypadek Katarzyny Jachimowicz, która przez cztery lata wykonywała zawód lekarza rodzinnego w Norwegii. W 2014 roku kraj ten wydał klauzulę zakazującą powoływania się na wolność sumienia, w efekcie czego lekarka straciła pracę – tylko dlatego, że w ankiecie wpisała zgodnie ze swoim przekonaniem, że nie zakłada spirali i nie kieruje na aborcję. Z tej historii wynika, że żaden praktykujący katolik nie może być lekarzem. Co się stanie z sumieniami pozostałych, jak na przykład system polityczny nakáže eliminację nieuleczalnie chorych, niepełnosprawnych? Powtórzy się raz jeszcze *Aktion T4*?

Tymczasem w Kanadzie instytucje charytatywne i małe przedsiębiorstwa

mogą czerpać profity z rządowego programu „Canada Summer Jobs”, pod warunkiem podpisania przez nie oświadczenia potwierdzającego swoje poparcie dla bezpiecznej i legalnej aborcji oraz teorii tożsamości płci. Przecież to nic innego jak zakamuflowany przymus. Zdumiewa mnie nasza krótkowzroczność. Jak łatwo zapominamy o totalitarnych zmorach przeszłości, gdzie wolność sumienia była łamana i naginana do fantasmagorycznych ideologii. „Klauzula sumienia”, póki istnieje, jest gwarantem, że tamte okropieństwa się nie powtórzą. Stanowi też podstawę do pluralizmu myśli i możliwości wyboru. Na koniec postępuję cytatem z filmu: „Istoty ludzkie opisywano na wiele sposobów. Używa się określenia *homo sapiens* – człowiek, który wie. Nie jest to dobra definicja, niewiele wiemy, wolę termin *homo spiritualis*” (*Jaskinia zapomnianych snów*, reż. Werner Herzog). ■

Bartosz Siwek – aktor Teatru im. H. Ch. Andersena w Lublinie.

PAŃSTWA MIASTA

– Oskarowa rola Oldmana! – powiedział mój przyjaciel, z którym w Dzień Przyjaciela wybrałem się do kina. *Czas mroku* to opowieść o tym, jak Winston Churchill został powołany na stanowisko premiera Zjednoczonego Królestwa w czasie, gdy Europa przestała sobie radzić z Hitlerem. I wszystko cudnie, ale coś niemiłosiernie wkurwiło mnie w tym filmie.

Po tym, jak Hopkins zagrał Nixona czy Picassa, w Oldmanie widzę zawsze Oldmana i nie robią już na mnie te upiększające zabiegi specjalnego wrażenia. Jeśli chcę zobaczyć Churchilla lub Picassa, to włączam sobie filmy dokumentalne z ich udziałem. Oldman w filmach typu *Krwawy Romeo* albo *Leon zawodowiec*, kreując, przekonuje mnie bardziej, niż próbując wcielić się w byty już istniejące. Nie to jest jednak w tym wszystkim irytujące. Brytyjczycy nakręcili film, w którym opowiadają



fol. archiwum autora

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

o tym, jacy dyletanci rządzą nami na co dzień. Jak nieporadna i infantylna była Europa wobec naporu nazistów. Stany Zjednoczone umyły ręce wobec brytyjskiego wołania o pomoc, proponując rozwiązanie absurda i dyplomatyczny impas. Znad tego dziecięcego zagubienia gabinetu Churchilla i jego samego – niezależnie od jego autorskich i znakomitych pomysłów, takich jak choćby flota cywilna – unosi się dość ponure widmo. Wypiarze, obserwując upadek Belgii i Francji oraz pozostałych krajów starego kontynentu, są w stanie tak długo układać się z najeżdżcą, dopóki nie wpłynie on na ich wody terytorialne. Można więc śmiało nazwać ich zachowanie pierwszym Brexitem. Obserwując wojenne ulice Londynu w 1942 roku, ma się wrażenie, że to odległy Nowy Jork. Scena, w której Churchill „odważa” się zejść do metra i rozmawiać z obywatelami – by usłyszeć od nich, że walczyć zamierzają do ostatniej kropli krwi z najeżdżcą – kłuje w oczy ich nienagannie skrojonymi garniturami. Dowiadujemy się też o kilku tysiącach żołnierzy angielskich ofiarowanych w celu powstrzymania okupanta we francuskim Calais.

W świetle ostatniego polsko-izraelskiego konfliktu o współodpowiedzialność za Holocaust, problemy Brytyjczyków wydają się nieco urojone, by nie rzec: żartobliwe. W zestawieniu sumy wszystkich ofiar II wojny światowej II Rzeczypospolitej (w granicach z 1939 roku) i Wielkiej Brytanii (wliczając kolonie brytyjskie) to stosunek 5 900 000 do 450 900. Przy czym ofiar cywilnych, których śmierć była wynikiem głodu i chorób wywołanych wojną, było w Wielkiej Brytanii zero. Robi więc Anglia historycznie zorientowane filmy z hollywoodzkim rozmachem i światową obsadą, a my *Koronę królów* z zacięciem spod Sieradza i aktorami z Lasów Państwowych. U nich Gary Oldman, a u nas Robert Goner. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.